ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 11-go Lutego 1897. Nr. 6.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste **t** (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Oświata ludu wiejskiego
w Szwecyi i Norwegii.

Szwecya i Norwegia, kraje leżące w północno-zachodniej Europie, mają jednego króla, chociaż są osobnemi królestwami, tak, jak to naprzykład jest teraz w Austryi i Węgrzech, albo jak dawniej od r. 1815 do 1831 były Rosya i Królestwo Polskie.

Kraje te położone na północ nad morzem Północnem i Oceanem Lodowatym, znajdują się w bardzo zimnym klimacie; zima tam trwa aż dziesięć miesięcy, są przytem te kraje przepełnione skałami i górami tak, że więcej jest skał niż ziemi uprawnej, a i ta ziemia jest tylko w małych kawałkach, uprawa jest zaś bardzo utrudniona. Ale że te kraje mają ludność bardzo wykształconą, myślącą i rozumną, a nadto pracowitą i obyczajną, więc mądrze te kawałki ziemi uprawiają.



Hrabia Murawiew,
nowy rosyjski minister spraw zagranicznych.

Lud tamtejszy bierze się na sposoby, żeby ziemia wydawała największe korzyści. Chowają teraz dużo bydła, uczą się i pielęgnują rzemiosła i handel, tak dalece, że wszyscy mają dobre utrzymanie, czyli, że rządząc się mądrze, pracowicie i religijnie, cieszą się dobrym bytem.

We wszystkich warstwach społeczeństwa szweckiego, a przedewszystkim norwegskiego, religia jest ulubionym przedmiotem rozmowy. Nauka, oświata cechuje każdego Szweda, a szczególnie Norwegczyka, to też przyjemnie z chłopem szwedzkim rozmawiać.

Naród szwedzki i norwegski jest pracowity, gościnny, szczery, rzetelny, miłosierny dla nieszczęśliwych i trzeźwy, a nie goniący za zabawami. Pod względem oświaty wszystkich mieszkańców, wszystkich stanów, nawet najbiedniejszych, niezaprzeczenie jest to państwo jedno z najpierwszych w Europie.

Szwecya i Norwegia posiadają wybornych nauczycieli i pomimo znacznej przestrzeni, jaką przebiegać muszą dzieci posyłane do szkół gminnych, szkoły te są przepełnione. Czego zaś szkoła dać nie może, to otrzymują dzieci od swych światłych rodziców, poświęcających nauce swych dzieci wszystkie chwile wolne od pracy podczas długich zimowych wieczorów.

Nieumiejących dobrze czytać, pisać, rachować, nie ma tam wcale, trudno zaś znaleść w Szwecyi i Norwegii nietylko zamożnego człowieka, ale nawet służącego lub ubogiego rolnika, którýby nie trzymał choć jednego czasopisma ludowego, gazetki ludowej. Gdy się skieruje wzrok ku polskim stronom, to z boleścią musimy przyznać, że we wszystkich częściach dawnej Polski, nie jest lud tak oświecony, ani tak trzeźwy, jak tam.

Jakżeby to inaczej wyglądało w polskiem społeczeństwie, gdyby było takie, jak norwegskie! Polakom zaś potrzeba jeszcze więcej oświaty, pracowitości, oszczędności i trzeźwości, niż mieszkańcom Norwegii, albowiem w trudniejszem i gorszem są położeniu politycznem. Muszą walczyć i bronić swojej narodowości. Jakążby to silną broń przy tej obronie stanowił dobrobyt, zdobyty przez oświatę i pracę! Kto coś posiada, tego nie tak łatwo zgnębić, jak tego, co nic nie posiada.

Sławny poeta polski, biskup ksiądz Ignacy Krasicki, ułożył po rozbiorze Polski wiersz, zachęcający Polaków do pracy i cnoty.

Nie złoto szczęście, o bracia, nie złoto,
Grunt wszystkiego: poczciwość i pobożność z cnotą,
Odmieńmy obyczaje, a jąwszy się pracy,
Niech będą dobrzy, a będą szczęśliwi Polacy.

Odmieńmy obyczaje! Starajmy się o oświatę, pracujmy, oszczędzajmy nie używajmy trunków, a nastanie u nas dobrobyt podobny, jak między ludem w Norwegii.

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 11-go Lutego 1897. Nr. 6.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Śląsku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

DALEKO OD OJCZYZNY.

POWIEŚĆ.

(Dokończenie.)

Raz, gdy mieli przejechać się po morzu, dziewczę, bystrym wzrokiem spojrzawszy na morze zawołało:

— Pędzi parowiec! może wiezie nam Harrego!

— A więc wracajmy — zawyrokował kapitan.

— Wracajmy — rzekła Mary — czepiając się jego ramienia; lecz przyrzecz mi, że chociaż przyjedzie twój Harry, ty zawsze kochać będziesz swoję dzieweczkę? — dodała, spoglądając pieszczotliwie w oczy Bitensa.

Marynarz uśmiechał się, położył dłoń na ramieniu dziewczęcia i rzekł z rozkoszą:

— Zawsze, zawsze, moje drogie dziecię; tylko teraz będę miał was dwoje, a potem... w świat wylecicie.

Mary zamyśliła się, spuściwszy główkę, a Bitens prosił żeby poszła do domu. Nie chciał brać ją z sobą do przystani, bo nie był pewien, co im okręt przywozi. Nie przywiózł im pożądanego gościa; zato dużo osadników karnej kolonii.

Bitens, wśród nawału zajęć, dawno nie był na zielonej oazie; nie miał nawet czasu wypatrywać na morzu okrętu wiozącego mu syna. Wyręczała go w tem Mary; siadała jak zwykle nad brzegiem śpiewając i wpatrując się w dal bezmierną. Raz, gdy morze było wzburzone, zadyszana przybiegła.

— W maleńkiej łódce jakiś człowiek pasuje się z bałwanami! — zawołała.

Wysłano zaraz łódź, nie znaleziono jednak nikogo.

W kilka dni potem Uery, który na zielonej wyspie gospodarował, przepłynął na wyspę Bitensa i rozpromieniony wbiegł do kapitana, wołając:

— Jest, jest — już mówi!

— Kto? zapytał Bitens.

— Ten obcy — ten, co śpiewał dziwne pieśni.

Bitens zmarszczył brwi, usiłując Uerego zrozumieć.

— Polly? — zapytał i twarz mu się rozjaśniła.

— Tak, Polly, ten coście go kazali szukać, kapitanie.

Po chwili Bitens płynął na oazę.

W leżącym przed zielonym domkiem człowieku, trudno było poznać Pollego; głowę miał ogołoconą z włosów, zato długa siwa broda okalała twarz wychudłą i znędzniałą. Oczy miał zamknięte, pierś wznosiła się powoli, jak u człowieka, który po długiem zmęczeniu do sił przychodzi.

— Zkąd on się wziął? — zapytał kapitan, przypatrując się leżącemu.

— Znalazłem go omdlałego w łódce, tuż przy samej wysepce — odrzekł Uery.

— Czyż to Polly? — pytał kapitan z niedowierzaniem.

— Polly, kapitanie; sami się o tem przekonacie.

Bitens, pochylił się nad leżącym, chcąc mu się lepiej przypatrzeć.

Usta nieznajomego zaczęły się poruszać, szeptem wymawiał jakiś wyraz, z piersi wybiegło westchnienie, a jednocześnie i wyraz głośniejszy.

— Tak, to on; — rzekł kapitan, usłyszawszy obcy mu wyraz.

— Ciągle to samo powtarza; po tem jednem go poznałem! — mówił Uery tryumfująco.

— Nieszczęśliwy! Uery, weź co potrzeba z mojej kuchni i piwnicy, a przyprowadź go do życia. — Polecił kapitan i odjechał.

VII.

Kapitan codziennie jeździł na oazę, nie brał jednak Mary, mimo jej próśb usilnych. Tłumaczył się tem, że na wyspie musiał umieścić kogoś ze świeżo przybyłych kryminalistów. Dziewczę dąsało się, musiało jednak uledz. Kapitan nie chciał, ażeby jego przybrana córka widziała Pollego, który na wszystkich przykre robił wrażenie.

— Gdy wyzdrowieje, dopiero tam moją Mary zawiozę; myślał sobie i coraz większej nabierał pewności, słysząc wyrazy Pollego i pieśni dziewczęcia, że oboje z jednego kraju pochodzą.

Polly tymczasem prędko przyszedł do siebie; był jednak ponury, zamyślony, zdawało się, że zapomniał po angielsku, bo z nikim nie chciał rozmawiać. Raz tylko, rzekł, jakby z wyrzutem do kapitana:

— Pocoście mnie uratowali!

I znowu zamilkł, a raczej rozmawiał z sobą językiem dla nikogo niezrozumiałym, lub siadał nad morzem i wpatrywał się w nie milcząco. Wszyscy zwali go obłąkanym, kapitan tylko nieszczęśliwym.

I znowu życie płynęło jak dawniej. Mary zagniewana, że jej nigdy nie chciano zabrać na oazę, już nie nalegała o to więcej.

Przybył też i Harry w tym czasie i wkrótce został narzeczonym sieroty.

Mary oprowadzając wszędzie ukochanego przypomniała sobie o zielonej wyspie, którą Bitens czasami nazwał jej dziedzictwem. Nalegała więc znowu, aby ją tam zabrano, żeby i Harry zobaczył oazę.

— Nic piękniejszego pewnie w życiu nie widziałeś! — zapewniała. Lecz Harry wtajemniczony we wszystko, zwierzył się jej, że ojciec urządza im niespodziankę.

— Wszakże Mary nie pojedzie tam bez Harrego? — mówił, patrząc jej w oczy.

Dziewczę podniosło główkę, spojrzało tym wzrokiem, w którym Harry widział swoje szczęście, i rzekło:

— Wszakże Harry ma być moim mężem, muszę więc przyzwyczajać się do słuchania jego żądań. Misyonarz mówi, że żona powinna być posłuszną mężowi.

— Ale misyonarz także naucza, że niewiasta porzuci ojca i matkę i pójdzie za mężem — odparł Harry.

— Ojca... matkę? — powtórzyła Mary. — Matka moja tam głęboko, pod falami oceanu, a ojciec... może szuka mnie po całym świecie. Opiekunem moim jest twój ojciec, on chce naszego szczęścia... Ale — rzekła weselej — ty Harry, musisz przyrzec, że zastąpisz mi ojca, matkę... wszystkich, wszystkich!

— Wszystkich ci zastąpię, wszystkich najdroższa, — przyrzekał młodzieniec.

— I powieziesz mnie do Europy, tam daleko, za ocean?... I nie pozwolisz, żebym była jak dotąd sierotą?

— Nie, nie; przyrzekam ci to Mary moja!

— I powieziesz tam, gdzie pieśni takie śpiewają, jakie ja umiem, i jeszcze piękniejsze?

— Wszędzie, wszędzie, gdzie tylko zażądasz.

— I ojca odszukasz, — nawpół przymknąwszy oczy, mówiła powoli, jakby marząc, dziewczyna.

— Wszystko uczynię, co będzie w mojej mocy, aby tylko Mary była szczęśliwą, — przyrzekał.

VIII.

A na wyspie, Bitens, widząc, że Polly jakiś rzeźwiejszy, usiłował z nim rozpocząć rozmowę.

— Co się z tobą działo? czemuś nas nie odwiedzał? możebyśmy co poradzili na twoje nieszczęście?

Polly wstrząsnął głową i odrzekł:

— Nikt już mi nie poradzi! — I wyjąwszy list, opatrzony wieloma pieczęciami, położył go przed kapitanem.

Bitens czytał adres, siląc się nad złożeniem spółgłosek w nazwisku.

— Ach, prawda, wszakże ty nie zrozumiesz, co tam w liście napisano, bo nie znasz mowy naszej, zawołał gorączkowo Polly. Doniesiono mi, że żona moja otrzymawszy mój list z Sydney, zabrała córkę, która przyszła na świat po moim wyjeździe, i udała się do Francyi, ażeby ztamtąd do mnie się dostać. Jest to wiadomość konsula francuzkiego, sam ją przeczytasz; dodał, podając list kapitanowi. Bitens przeczytał nazwisko kobiety i jej córki, które na okręcie płynącym do Australii opuściły Francyą; okręt rozbił się, załogę z małym wyjątkiem uratowano.

Bitens drgnął na tę wiadomość.

— Cóż więc dla mnie pozostało! — zawołał Polly, — nic, żadnej nadziei! Nieszczęśliwy załamał dłonie i jęk przeciągły wyrwał mu się z piersi.

Bitens zapadł także w zamyślenie, ocknął się jednak wkrótce.

— Nie trać, przyjacielu, otuchy — rzekł kładąc rękę na ramieniu Pollego. — Czasami, gdy nam się zdaje, że burza okręt roztrzaska, wiatr się nagle odwróci i ucichną bałwany.

Polly nic nie odpowiedział, wstrząsnął tylko głową, a to był jedyny znak, że słyszał Bitensa; słowa jednak nie można już było z niego wydobyć. Kapitan zostawił go nateraz w spokoju, lecz w kilka dni powrócił.

— Mam do ciebie wielką prośbę — rzekł Bitens na powitanie.

Polly podniósł wzrok na niego.

— Mam tutaj papiery, które dostały mi się dziwnym sposobem; nie umiem ich przeczytać.

Polly słuchał obojętnie.

Bitens rozwinął arkusze zżółkłego papieru i położył je przed nieszczęśliwym. Wzrok jego padł na pismo; chwycił papier, przybliżył go do oczu, wpił w niego wzrok nagle ożywiony, ręce mu drzeć zaczęły; czytał szeroko nakreślone wyrazy, przebiegł je raz jeszcze od początku do końca i, chwytając ręce kapitana, zawołał:

— Gdzie one — gdzie? Na miłość Boga powiedz, gdzie moja żona i córka!

— Uspokój się przyjacielu — mówił kapitan — widzisz, że jest już nadzieja!

— To akt mego ślubu i akt urodzenia mojej córki; mówił Polly na wpół obłąkany, tocząc wzrokiem błędnym dokoła.

— Uspokój się; dowiesz się zaraz, córka twoja jest w bezpiecznem miejscu.

Wtem zdala ozwał się głos melodyjny.

Mary, uzyskawszy pozwolenie kapitana, poraz pierwszy z Harrym na oazę przybyła.

Przez mgłę poranną słońce przedzierało się, morze szumiało a jakby ucieszone złotemi promieniami słońca, wygładzało swoję powierzchnią. Woń przyjemna, wilgotna, unosiła się w powietrzu; zieloność oazy nęciła szmaragdowemi blaskami; chciało się gwałtem żyć.

Mary, idąc obok narzeczonego, cieszyła się wrażeniem, jakiego doznawał; nie mówili nic lecz uściskiem dłoni i wzrokiem wypowiadali sobie starą jak ludzkość balladę, choć zawsze jako wiosna świeżą.

Po chwili milczenia, Mary nucić zaczęła jednę z tych znanych tylko sobie melodyj. Z początku nuciła bez słów przyciszonym tonem, potem coraz głośniej:

»Kiedy ranne wstają zorze,
»Tobie ziemia, Tobie morze...«

Polly chwilkę słuchał, jakgdyby echa z odległej strony, przecierał oczy, jakby wzrokiem chciał poznać dzwięki, co mu

się do duszy wdzierały... Głos Mary brzmiał coraz donośniej:

»Wielu snem śmierci popadło,
»Co się wczoraj spać pokładło.
»My się jeszcze obudzili...«

— »My się jeszcze obudzili« — powtórzył Polly, stanął jak wryty, wyciągnął przed siebie ręce i zawołał:

— Moja córka! a potem padł omdlały na ziemię.

Mary nie dosłyszała wyrazów, lecz przestała śpiewać i wraz z Harrym pospieszyła do nieszczęśliwego.

— To właśnie ów obcy — rzekł kapitan — o którym ci opowiadałem.

Mary spojrzała bojaźliwie na leżącego; długa broda, wychudzona twarz i błędne oczy, uparcie na nią zwrócone, przestraszały dziewczynę. Wkrótce jednak ochłonęła z przykrego wrażenia a przypomniawszy sobie opowiadanie kapitana, że Polly śpiewał pieśni podobne do tych, jakie ona umiała, zbliżyła się i położyła dłoń na jego czole.

— Harry, przynieś wody, ocucimy nieszczęśliwego.

Polly otworzył oczy, uśmiech błogi przebiegł po jego zsiniałych ustach, podniósł głowę, wyciągnął dłoń i uchwycił rękę dziewczęcia. Usiłował się podnieść lecz sił mu zabrakło, zawołał tylko powtórnie:

— Moja córka! Gdzie matka?... gdzie żona moja?!

Z temi słowami głowa mu na piersi opadła, i w niemym bólu ręce zacisnął na piersiach. Po chwili usta jego zaczęły się poruszać szeptem, coraz głośniej wymawiając wyrazy, lecz nikt ich nie rozumiał. Mary, wpatrując się w nieznajomego powtarzała za nim słowa, i nagle krzyknęła:

— Ojcze! — a po chwili dodała — matki już nie mam!

Polly wyciągnął do niej ręce i błagał:

— Śpiewaj, śpiewaj... ja śnić będę, że jestem w niebie... tam, gdzie twoja matka!...

ŚMIERĆ PUŁKOWNIKA.

W głuchej puszczy, przed chatką leśnika,
Rota strzelców stanęła zielona;
A u wrót stoi straż Pułkownika,
Tam w izdebce Pułkownik ich kona.
Z wiosek zbiegły się tłumy wieśniacze.
Wódz był to wielkiej mocy i sławy,
Kiedy po nim lud prosty tak płacze
I o zdrowie tak pyta ciekawy.

Kazał konia Pułkownik kulbaczyć,
Konia w każdej sławnego potrzebie;
Chce go jeszcze przed śmiercią obaczyć,
Kazał przywieść do izby, do siebie.
Kazał przynieść swój mundur strzelecki,
Swój kordelas i pas i ładunki:
Stary żołnierz, on chce, jak Czarniecki,
Umierając swe żegnać rynsztunki.

A gdy konia już z izby wywiedli,
Potem do niaj wszedł ksiądz z Panem Bogiem;
I żołnierze od żalu pobledli,
A lud modlił się klęcząc przed progiem.

Nawet starzy Kościuszki żołnierze:
Tyle krwi swej i cudzej wylali,
Łzy ni jednej, — a teraz płakali,
I mówili z księżami pacierze.

Z rannym świtem dzwoniono w kaplicy.
Już przed chatą nie było żołnierza,
Bo już Moskal był w tej okolicy.
Przyszedł lud widzieć zwłoki rycerza.
Na pastuszym tapczanie on leży;
W ręku krzyż, w głowach siodło i burka,
A u boku kordelas, dwururka.

Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,
Jakie piękne, dziewicze ma lica!
Jaką pierś!... Ach to była dziewica,
To Litwinka, dziewica-bohater,
Wódz Powstańców: Emilia Plater!*)

Adam Mickiewicz.

---

*) Emilia Plater wzięła udział w wojnie Polaków z Moskalami roku 1831.

POLSKIE MIARY I WAGI.

Gdy człowiek wychodząc z pierwotnej prostoty życia, uczuwał potrzebę posiadania miar i wag, przedewszystkiem do porównania długości różnych przedmiotów stosował przybliżone wymiary własnego ciała. I tak Polacy długość, do której mogli sięgnąć rozkrzyżowawszy ręce, nazwali siągiem czyli sążniem. Połowę tej długości (od środka piersi do kończyn ręki) nazwali łokciem giętym lub strzałą. Była to bowiem zwykła długość strzały łukowej z brzechwą. Długość ręki od łokcia do końca środkowego palca albo od ramienia przez łokieć do dłoni, dorównywająca trzeciej części sążnia, nazwaną została łokciem. Długość stopy, stanowiąca około połowę łokcia, nazwaną została stopą. Obwód głowy był także uważany za trzecią część sążnia czyli łokieć. Najdłuższa miara możliwa do objęcia palcami, stanowiąca trzecią część łokcia, nazwana została piędzią. Za cal, stanowiący 24 część łokcia, uważano szerokość brzuszca wielkiego palca, a za cztery cale, szerokość dłoni. Co się tyczy miar przestrzeni i objętości, to tak samo jak na całym Zachodzie Europy, każda dzielnica i miasto w Polsce miały zwyczajem miejscowym przyjęte różnej wielkości garnce, morgi, łany i t. d. Oto szereg tych miar, przytoczony tu sposobem alfabetycznym z objaśnieniami:

1) Antał oznaczał ćwierć wielkiej beczki, czyli garncy 18, antełek był połową albo trzecią częścią antała. Były to statki używane do wina.

2) Beczka była tak samo jak garniec, inna do ciał sypkich a inna do ciekłych. Garniec zbożowy był 2 razy większy od piwnego. Beczka nasypana miała w sobie cztery korce krakowskie podług prawa z roku 1557, potwierdzonego w r. 1613, a 72 garnce zbożowe podług uchwały z roku 1677. Komisya skarbowa litewska postanowiła w roku 1765, aby beczka dzieliła się na cztery ćwierci, 8 ośmin i 16 szesnastek, a szesnastka miała 9 garncy litewskich, czyli cała beczka takichże garncy 144, a zbożowych litewskich, jako dwa razy większych, 72. Beczka nasypna była używana w Litwie od wieku XV. Łukasz Górnicki pisze w połowie wieku XVI o cedułach dawanych Litwinom sprzedającym owies królowi: »temu na 50, temu na 30, temu na 10 beczek owsa«. Beczka litewska obejmowała w sobie 3 korce i 12 garncy warszawskich. Ośm beczek i 3 ćwierci stanowiły łaszt królewiecki. Beczka piwna czyli baryła podług prawa z roku 1565 obejmowała garncy polskich nalewnych czyli »piwnych« 24, ale obliczano także i na beczki piwne 3 razy większe tj. 72 garncowe.

3) Centnar zwyczajny ma funtów polskich 100, centnar kupiecki warszawski ma w sobie 5 kamieni (32 funtowych) czyli funtów 160, centnar lwowski ma 4 kamienie czyli funtów 126. Centnarówkami nazywano beczki mieszczące w sobie centnar prochu.

4) Funt, z łacińskiego wyrazu pondus i niemieckiego Pfund, wszedł do Polski w średnich wiekach z kupiectwem niemieckiem; dzieli się na łutów wrocławskich 32. Gdy w każdym kraju krążyła moneta całego świata, był niegdyś zwyczaj i w Polsce przy większych sumach przyjmowania pieniędzy na wagę. Ważono więc srebro na grzywny czyli półfunty, bo grzywna ważyła łutów wrocławskich 16. W Anglii dawny zwyczaj ważenia szterlingów na funty upamiętnił się do dzisiaj w sposobie liczenia pieniędzy i kapitałów. Liczą tam pieniądze na funty szterlingów. Funt polski waży 2 grzywny czyli assów 8.400. Na kamień szło funtów polskich 32. Funt litewski podług prawa z roku 1766 porównany był z funtem berlińskim, mniejszym o $^1/_5$ od funta wrocławskiego czyli polskiego, potwierdzonego w Koronie prawem z roku 1764.

5) Garniec oznaczał pierwotnie garnek gliniany, użyty do mierzenia rzeczy sypkich lub ciekłych. Ponieważ rzeczy

sypkie mierzono zwykle garnkiem wielkim a płynne mniejszym, ztąd i miara była dwojaka: Garniec zbożowy czyli »zbożny« był 2 razy większy niż »piwny« czyli nalewny. Garniec piwny, nazwany warszawskim, uznany został prawem z roku 1764 za normalny dla całego kraju, i podzielony na 4 kwarty a 16 kwaterek. Takich garncy 72 stanowiło beczkę, 24 lub 25 baryłę piwną, 12 półbeczek piwa, 32 korzec warszawski. 4 garnce nalewne litewskie równały się trzem takimże warszawskim. Garncy podwójnych czyli »zbożnych«, których idzie 16 na korzec, dotąd używa lud wiejski na Podlasiu, jako miarę ziarna.

6) Grzywna, używana do ważenia kruszców a mianowicie srebra, obejmowała pół funta polskiego czyli łutów 16. Stąd skalę czystości srebra podzielono na stopni 16. Srebro próby 12-tej zawiera w sobie na 12 łutów czystego 4 łuty domieszki. Karę pieniężną, przez sąd wyrokiem naznaczoną, nazywano grzywnami. Pochodzenie wyrazu grzywna jest słowiańskie. Grzywna oznaczała pierwotnie 40—60 skórek futrzanych wiewiórczych lub kunich, nanizanych szeregiem na sznurek, co pozór grzywy końskiej dawało. W czasach handlu zamiennego i niedostatecznej ilości pieniędzy, był to najpospolitszy środek do zamiany. Ponieważ pięć grzywien skórzanych miało wartość jednej grzywny srebra, kara więc sądowa, nazywana w pierwotnem prawie siedemnadziesta, oznaczała zapłacenie 14-tu grzywien srebra, szesnadziesta zaś 12-tu grzywien czyli 6-ciu funtów srebra.

7) Huba, z niemieckiego die Hube, znaczy włókę o 24 morgach chełmińskich. Koloniści niemieccy, którzy za czasów saskich pod nazwiskiem Hollendrów licznie do Polski napływali, dostawali zwykle po hubie ziemi.

8) Kamień, jako waga w domowem zastósowaniu, stanowił czwartą część centnara, ważył zatem funtów 25. Atoli w handlu nie używano takich kamieni, tylko 32-funtowych, nazywano je niekiedy lekkiemi dla odróżnienia od ciężkich 60-funtowych. Na centnar kupiecki szło kamieni 32-funtowych 4 lub 5. Kamieniem nazywano także ciężarek, będący normalną wagą dukata.

9) Korzec. Wszystkie miary powstały z pierwotnych naczyń domowego użytku. Garniec, to był garnek gliniany. Korzec był naczyniem wielkiem z kory drzewa (może ze świerkowej, która daje się wybornie z całych kloców zdejmować). Już w dokumencie z roku 1242 mamy wiadomość, że sól sypką, zapewne warzonkę, sprzedano wówczas na pecyny i korce (peczini et Corcze.) Młynarze zaś za mielenie brali miarę w roku 1236 od korca. Podług ustawy z roku 1764 korzec warszawski ma mieć garncy warszawskich 32 czyli 4 ćwierci po garncy 8. Sejm pragnął w ten sposób ustalić miarę korca, która była w każdej prowincyi i w każdem mieście inna. W Mazowszu i w Podlasiu używano korca, dzielącego się na 2 korczyki, 4 ćwiartki i 32 garnce. I ta miara przyjętą została za normalną dla całego kraju przez uchwałę z roku 1764, jako korzec warszawski, obejmujący cali sześciennych paryzkich 6.080. Korcy takich szło na łaszt 30.

10) Łan. Nazwę Łanów (laneos) mamy już w dokumencie z roku 1236. Łan była to pewna przestrzeń ziemi dana przez panującego w kraju księcia osadnikowi do wykarczowania, uprawy i płacenia z niej czynszu i danin. Osadnik taki od łanu był lennikiem i ztąd pochodzi w języku polskim wyraz lennik i lenny. Polska nie mając pierwotnie jednolitego prawodawstwa ani jednolitej administracyi krajowej, ale rządząc się w każdej dzielnicy lub ziemi, a nawet opolu, miejscowym zwyczajem i potrzebami, a szanując wszędzie miejscowe tradycye, nie mogła mieć jednakowej wszędzie miary dla łanów. Pierwotnie jak się zdaje, oznaczały one obszar gospodarstwa normalnego, jakie jeden osadnik z rodziną i parą wołów prowadzić może. A że gospodarstwa dawniejsze były wszystkie trzypolowe, więc łanem większym nazywano przestrzeń wszystkich trzech pól jednej gospodarki, a łanem mniejszym jedno pole

czyli mniej więcej trzecią część łanu większego. Gdy nastali miernicy, którymi byli komornicy czyli pomocnicy podkomorzych, zaczęto ściślejsze przyjmować miary, a wtedy łan kmiecy albo polski większy, obejmował około $22\frac{1}{2}$ morgów, a łan mniejszy około $7\frac{1}{2}$. Włóka albo łan chełmiński obejmował zaś około 32 morgów miary nowopolskiej, t. j. 300 prętowych. Ale w Krakowskiem nazywano także łanem chełmińskim gospodarstwo 90-morgowe, czyli 3 włóki. Łan chełmiński w królewszczyznach liczył 30 morgów. Wsie osiadały na łanach polskich, miasta na niemieckich, prawie dwa razy większych niż polskie. Łanowe był to podatek z łanu, łanowa piechota była z kmieci królewskich, wybranych po 1-ym z każdych 20-tu łanów, ztąd łannik czyli żołnierz łanowy, wybraniec z łanów.

11) Łokieć polski zwiera w sobie stóp polskich dwie, ćwierci 4, calów polskich 24, cal linij 12; łokieć polski to samo znaczył co warszawski i krakowski. Pomiar jego uznany był dla całego kraju prawami z lat z 1565 i 1764. Łokieć chełmiński jest na kościele Panny Maryi w Chełmnie oznaczony dwoma sztyftami żelaznymi, w murze osadzonymi.

12) Łót (łut), z niemieckiego das Loth. Trzydzieści i dwa łuty ma mieć jeden funt, pisze statut Herburta. Grzywna polska dzieliła się na 16 łutów, które przyjęto jako zasadę do oznaczenia próby srebra, 12-ta próba oznaczała, że w grzywnie tego srebra jest 12 łutów czystego srebra i 4 domieszki innego kruszcu.

13) Mila polska była trojaka: mała sążni 2.500, średnia sążni 3.333 i wielka 3.750. Wargocki w czasach Zygmunta III pisze, iż »staj 32 czynią naszą polską milę równą, a staj 40 czynią naszą milę wielką.« Długosz pisze, iż »Piotr Duńczyk, rządca prowincyi kaliskiej i kruszwickiej, odbywając częste podróże między Kruszwicą a Kaliszem, kazał (około r. 1410) wymierzyć ich odległość od siebie i w środku drogi postawić słup kamienny, który dotychczas (słowa Długosza) widzieć można na cmentarzu kościoła parafialnego w Koninie z napisem: Tu jest połowa drogi z Kalisza do Kruszwicy. Ukazuje to ten znak, modła drogi i sprawiedliwości, którą zrobić kazał Piotr wojewoda.« Tenże dziejopis twierdzi, iż Bochnia 5 mil od Krakowa jest odległa, a z Poznania do Gniezna liczono drogi mil 7. Mila polska w późniejszych czasach obejmowała sążni polskich 4.200, łokci warszawskich 12.600.

14) Mórg czyli dzień, jutrzyna, był praktyczną miarą przestrzeni pola, którą jeden człowiek w jednym dniu, jedną parą wołów zaorać może. Stąd dawniej przy słabszym stanie narzędzi i inwentarza, mórg polski był mniejszy 200-prętowy, późniejszy nowopolski większy 300-prętowy. Mórg nowopolski równy był chełmińskiemu, a znacznie większy od magdeburskiego, który był znowu dwojaki: polowy, obejmujący 120 pr. kwadr., i lasowy 160 pr. kw. Morgi chełmińskie były także dwojakie: stare i nowe.

15) Oko, oznaczało jednostkę, n. p. książę Jabłonowski wydał w roku 1731 »Sto i oko bajek«, czyli 101. W grze karcianej mówiono: »on miał sto ok.« Oko tureckie znaczyło wagę trzyfuntową.

16) Pręt, pierwotnie znaczył tylko laskę, następnie gdy długa laska używana była do mierzenia, pręt został nazwą miary, obejmującej stóp polskich 15, a precików 10. Pręt kwadratowy t. j. półosma łokcia kupieckiego długi i szeroki, zwał się po staropolsku pólko. Pręcik będący dziesiątą częścią pręta, zwany także stopą geometryczną, dzielił się na 10 ławek.

17) Sążeń, miara trzyłokciowa, tak nazwany od sięgania i ztąd w mowie ludowej siągiem zwany. Haur w 16-tym wieku najlepiej tłomaczy pochodzenie nazwy: »Sążeń jest kiedy człowiek obie ręce jak może najlepiej wyciągnie«, czyli sięgnie w dwie strony przeciwne.

18) Staje, stajanie, sto kroków wielkich lub dwieście zwykłych, miara w polu używana, w różnych czasach i w różnych prowincyach Polski, rozmaita.

W wielu okolicach równa się stu sążniom polskim. Podług Haura staje ma stóp 625, podług Czackiego kroków 220.

19) Sznur polski mierniczy, czyli geometryczny, ma prętów 10, łokci warszawskich 75, pręcików czyli stóp geometrycznych 100, ławek 1.000, cali 1.800.

20) Włóka, znaczy morgów 30, nie wszędzie była jednakową, tak jak i mórg był wieloraki. Znane są włóki chełmińskie czyli pruskie, mniejsze od mazowieckich. Włóka tem się różniła od łanu, powiada Czacki, że tak nazwana od rolniczego włóczenia, oznaczała zawsze rolę orną czyli zarobioną, gdy na łany mierzono przestrzeń oddawaną osadnikom i szlachcie do uprawy i zagospodarowania. Nie było jednak na to stałego prawidła. Łan wielki mieścił w sobie 3 włóki tj. po jednej w każdem polu. Włóka podług przepisów Zygmunta Augusta, danych dla królewszczyzn, składała się z 33 morgów, a zwyczajna z 30.

ŻART KAPITANA.

Za czasów księcia Konstantego słynął w polskiem wojsku kapitan w pułku ułanów, z żartów, z różnych dowcipnych konceptów, z psot i figielków, które płatał swoim znajomym. Pułk ten przechodził w czasie lata przez okolicę, gdzie przez dni kilka dla wypoczynku miał się zatrzymać. Właściciel miejscowy powiadomiony został, że i on załogę otrzyma, a będąc nader wesołego usposobienia i zamożnym, poprosił, ażeby mu dano na kwaterę kapitana i kilku oficerów.

Wreszcie upragniona nadeszła chwila. Zawiały chorągiewki, zabłysnęły lance a poczciwy starzec na dziedziniec pospieszył, gości swoich powitał, ucałował, wprowadził do pokoju i zaraz na wstępie doskonałem winem i sutą wieczerzą uczęstował.

— Szanowni i łaskawi panowie — zawołał gospodarz, podniósłszy kielich — witam was wszystkich z całego serca. Wiwat rycerze nasi! — i spełnił kielich aż do dna.

Oficerowie podziękowali w imieniu wszystkich i wnieśli zdrowie gospodarza.

— A teraz — mówił gospodarz z podnieconym na licu rumieńcem — w szczególności komendanta, zacnego kapitana. Niech nam żyje i wesołe płata figle!

Kapitan podziękował tak samo.

— A szanowny łaskawco — zawołał znowu gospodarz — pragnąłem od dawna znajomości twojej, rycerzu waleczny! Wyprosiłem sobie, żebym ciebie mógł powitać, uściskać, ucałować. Przyjmij więc, co chata ma moja, bo czem bogata tem rada.

— Przyjmujesz nas sercem, najszanowniejszy dobrodzieju, sercem polskiem i duszą polską — odrzekł kapitan — to i najszczęśliwsi jesteśmy z takiej gościny. Uściskali się wzajemnie.

— Ach łaskawco — zaczął dziedzic jeszcze mam prośbę jedną do ciebie.

— To i jakaż może być prośba? naprzód już przyrzekam wszystko.

— Ot, żebyś mi jakiego wesołego figla wypłatał.

Roześmieli się wszyscy.

— Dowcip twój słynie, a ja namiętnie lubię takie wesołe koncepty. Mój łaskawco jedyny, proszę o jaki dobry figiel.

— Dobrze, kochany dobrodzieju — odrzekł kapitan — uczynię, co potrafię ale nie zawsze usposobienie bywa po temu.

— Usposobienie? — przerwał mu dziedzic, — czy masz, kochany kapitanie, jakie kłopoty?

— Każda Teresa ma swoje interesa, dobrodzieju kochany. To koń zakuleje, to przyjaciel zawiedzie, wierzyciel naciska, w karty się przegra.

— E, drobnostka to wszystko! — zawołał dziedzic.



Gmach na rynku w Krakowie, zwany Sukiennicami.

Uściskali się znowu, ucałowali i kapitan przyrzekł, że jeżeli tylko zdoła, to spłata jakiego figla, z którego gościnny gospodarz pośmieje się trochę.

Wieczorem długo siedzieli ze sobą przy herbacie, prawili i gawędzili. Kapitan dowcipkował, koledzy różne jego opowiadali psoty, aż dziedzic zanosił się od śmiechu i łzy mu z oczu spływały. Wreszcie udali się na spoczynek. Gospodarz odprowadził gości do ich pokoi. Zaledwo pół godziny upłynęło, gdy wbiega do pokoju dziedzica Tomek woźnica, blady, przerażony i załamując ręce, ze łzami wybełkotał:

— Jaśnie panie!... O Jezu! Jezusieńku! toć nam konie ukradli!

— Co ty gadasz? — wrzasnął dziedzic — śnisz, czy co?

— A dałciby Niebieski — zawołał Tomek — ale dyć je ukradli!

— Do stu katów! a gdzieżeś ty był?

— Oj jaśnie panie — odrzecze Tomek. — Ułani wej za bramą różne tam wyprawiali figle i pogapiłem się z drugimi...

— Potrzeba szukać, gonić! — zawołał nagle dziedzic. — Jutro jest jarmark w mieście.

— O juści, juści, jaśnie panie. Pewniusieńko tam z nimi popędzili.

— Chodź.

Dziedzic pobiegł do pokoju kapitana, który zabierał się do spoczynku.

— Kapitanie, łaskawco jedyny, kochany, ratuj!

— Cóż się stało dobrodzieju? Cóż się stało?

— Konie mi ukradli!

— A to historya — wyrzekł z oburzeniem kapitan — przecież są moi ułani.

— Byli za bramą, tam się bawili, a tymczasem złodzieje od tyłu konie uprowadzili.

— Nieszczęście! serdecznie jestem zmartwiony, kochany dobrodzieju...

— Przyszedłem z prośbą do ciebie, kapitanie, ażebyś mi pozwolił koni swoich i ze dwóch ułanów do pogoni, byśmy złodziei może dopędzić potrafili. W miasteczku jest jarmark.

— Z całej duszy, kochany łaskawco. Masz moje własne konie. Ale wybacz, ułanów dać nie mogę, bo to sprzeciwia się regulaminowi.

— No, no, to mniejsza. Daj mi tylko dwa konie, wsiądę na jednego, a na drugiego Tomek.

— Jakto dobrodzieju, sam chcesz pogonić?

— Nie inaczej, najlepiej to każdy sam własnego dopilnuje interesu.

— Wielka prawda, ale zmęczysz się bardzo.

— To i co? pójdzie na zdrowie, byle tylko znalazły się szkapiny.

— Ale pośpiech potrzebny. Hej! Antoni! — zawołał na służącego kapitan — niechno tam Pazdralski natychmiast okulbaczy moje dwa wierzchowce i przyprowadzi... Dobrodzieju, tylko mi ich nie bardzo zmachaj.

— Bądź spokojny kapitanie! a dziękuję ci z całego serca!

Wybiegł, krzyknął na Tomka, Pazdralski konie przyprowadził, dosiedli i pogonili ku miasteczku. Noc bardzo ciemna, do miasteczka dobre dwie mile, pędzili co tchu starczyło i dziedzic zapomniał, że przyrzekł koni nie zmęczyć.

Tymczasem dnieć poczęło, zanim do miasteczka dojechali. Pędzili bez wytchnienia, w tem odezwał się Tomek:

— Dobrodzieju!

— A co tam?

— Jaśnie panie, iście jakbym na naszej jechał kobyle.

— Co ty pleciesz? — obejrzał się dziedzic na niego. — A do stu katów — zawołał nagle i zatrzymał konia — toćże ty niby na białonóżce siedzisz. — Dziedzic zsiadł i Tomek zeskoczył, konie były spienione i mocno piersiami robiły.

— Jaśnie panie — zawołał Tomek, składając dłonie — toćże to widzi Bóg, nasze właściwe konie, co niby je ukradli!

Dziedzic zadumał się, pokiwał głową, przyjrzał się koniom, poklepał je, znowu głową pokręcił, a potem głośnym wybuchnął śmiechem. Tomek zdziwiony spojrzał.

— O kapitanie, figlarzu! Czego chciałem to i mam — dziedzic pośmiał się znowu — bodajcie Bóg miał w swojej opiece. Dalejże Tomku, napowrót, niech jednak konie wysapią się trochę.

Dzień był jasny, gdy w dworze stanęli. Wybiegł na ich spotkanie kapitan, za nim oficerowie, a wreszcie żołnierze.

— Dobrodzieju — woła kapitan — wybacz, daruj!

— Oj, oj, figlarzu — pogroził mu mu dziedzic, zsiadając i dobrodusznym wybuchnął śmiechem.

— Dobrodzieju, a konie zziajane — głaskał je kapitan.

— Bodajże cię Bóg kochał — zawołał tenże — żeby mnie w tak ciemną drogę wysłać, by na własnej kobyle gonić złodziei.

— Łaskawco kochany i dobrodzieju! — objął go kapitan oburącz, — toć że chciałeś figla, żądałeś koniecznie, prosiłeś, a mnie inny nie nawinął się koncept.

— Bóg ci zapłać i za to — dziedzic w obadwa ucałował go policzki, że aż klasnęło.

O ORLE.

Ptak ten w Europie, w części Azyi i Afryki, gdzie zamieszkuje, stał się już dosyć rzadkim, stąd trudno robić nad nim spostrzeżenia. Nie można nad tem ubolewać, gdyż trudno znaleźć niebezpieczniejszego nadeń wroga wszelkiej zwierzyny. Z wyjątkiem większych zwierząt, żadne nie jest przed nim bezpieczne. Młode sarny, zające, dzikie gęsi, jagnięta, koźlęta, które zuchwale porywa u wrót owczarni, lisy, borsuki, koty, kuropatwy, cietrzewie, jarząbki, psy, bociany, drób domowy, szczury, krety, myszy, wszystko dla niego jest dobre; szybki bieg nie ocali przed nim zająca, ani bystry lot ptaka. Nie waha się wydrzeć sokołowi schwytanego gołębia, jastrzębiowi jarząbka; w zimie, gdy braknie pożywienia, rzuca się na padlinę.

Często sławiono orła, tego niebezpiecznego, krwiożerczego zbója, jako wzór siły i szlachetności, piętnując sępa, tego ze wszech miar pożytecznego ptaka, jako wstrętnie żarłocznego. Zdanie to jest zupełnie błędne, gdyż jak wszyscy badacze jednozgodnie stwierdzają, rzecz się ma zupełnie przeciwnie. Słusznie powiada Juliusz Michelet: »Właściwa różnica pomiędzy orłem a sępem jest następująca: orzeł lubi krew i przekłada żywą zdobycz, lecz pożera też i martwe łupy. Sęp nie zabija i staje się dla żyjących jestestw bezpośrednio pożytecznym, ponieważ materye których organizm uległ już śmierci, a które z tego powodu stałyby się przyczyną zniszczenia dla innych ciał organicznych, powołuje do współudziału w dalszym obiegu.

Orła można nazwać sługą śmierci, sępa zaś przeciwnie — sługą życia. Piękność, siła i wspaniała postawa orła w locie skłoniła wielu władców wojowniczych ludów do obrania go za widome godło. Takiem godłem między innemi był orzeł u Persów i Rzymian, jako symbol potęgi i świetności tych narodów. Poważni mężowi nauki, jak Arystoteles, podzielali wiarę w niedorzeczną bajkę, że orzeł patrzy w słońce i że chcąc wypróbować siłę swoich dzieci, każe im również spoglądać w słońce. Skoro uczeni raz już się znaleźli na tej fałszywej drodze, dążyli po niej dalej. Buffon zabrnął na niej najdalej, chwaląc orła za jego umiarkowanie. Podług niego, orzeł nie wszystko pożera, co jest mięsnym pokarmem. Prawda, że gdy pochwyci większą zdobycz, resztkami jej dzieli się ze swoją rodziną. Ten król powietrznych szlaków, powiada dalej Buffon, gardzi drobnemi zwierzętami. Ale dokładne badania przekonały, że się rzecz ma zupełnie przeciwnie. Orzeł rzuca się najzapalczywiej na najbezbronniejsze i najtrwożliwsze ze wszystkich zwierząt, to jest na zająca, bielik poluje

przeważnie na kaczki, kobuz chwyta myszy polne z taką żarłocznością, że je całkiem połyka, nie rozdzierając ich.

Tak twierdzi znakomity pisarz, dla którego spostrzeżenia nad ptakami stanowiły jedynie wypoczynek po innych



ORZEŁ UDERZAJĄCY NA LISA.

Niektóre orły zabijają własne pisklęta, lub wyrzucają je z gniazda, nim staną się zdolnemi same się wyżywić.«

pracach. Lecz leśnik i myśliwy z zawodu, Riesenthal, dochodzi do tego samego wniosku. Pisze on: »Para orłów

nie znosi żadnej innej w swojem sąsiedztwie; jeśli się trafi jaki nieproszony przybysz, natenczas wszczyna się zawzięta i krwawa walka pomiędzy ptakami; rozpoczyna się ona zwykle w powietrzu, przyczem zażarte ptaki tak się szponami z sobą zczepiają, że wirując spadają razem na ziemię.

Nadzwyczajna siła lotu orła, szybkość i zwinność jego, straszna potęga uderzenia skrzydłami i szponami, iskrzące spojrzenie dzikiego, krwią nabiegłego oka, czynią orła nastraszniejszym wrogiem zwierząt i ptaków, od sarny do królika i świstaka, od łabędzia i dropia do skowronka. Pożera pochwyconą zdobycz, nim ta wyda ostatnie tchnienie; upija się świeżą krwią swojej ofiary i obżera się jej mięsem do tego stopnia, że stoi nad nią z nastroszonem pierzem, nie mogąc już zerwać się do lotu. Głos jego podobny jest do krakania jastrzębia, tylko daleko silniejszy, a każdy zwierz i ptak, usłyszawszy go, w największym popłochu szuka bezpiecznego ukrycia. Kozice z trwogą starają się ukryć swoje koźlęta w załomach skały; cały ich kierdel (gromada) w przerażeniu biega tu i ówdzie, gdy w tem rozlega się przeraźliwy świst ptaka, który ze zwiniętemi skrzydłami spada jak piorun na wybraną ofiarę i w jednej chwili unosi ją w szponach.

Trapiony głodem, staje się do ostateczności zuchwałym; zbliża się do wiosek i porywa wszystko, co się nadarzy. Chwyta nawet małe dzieci, co niejednokrotnie już stwierdzono.

W Finlandyi, pod Helsingforsem, w pewnej wiosce napadł raz orzeł na świnię; na kwik jej pospieszył wieśniak i spędził drapieżnika, ten zaś pochwycił kota i uniósł go na płot. Na wrzask kota, wieśniak rzucił się na ptaka, chcąc ratować kota, lecz widząc dziki wzrok zbójeckiego ptaka, nie odważył się wszczynać z nim walki i pospieszył do domu po strzelbę. Gdy rozłoszczony ptak po raz trzeci ujrzał człowieka, zamierzającego pozbawić go zdobyczy, puścił kota i wpadł na swego wroga; dopiero na wrzask świni, kota i człowieka pośpieszyli z odsieczą inni i zabili orła.«

Chociaż orzeł nie potrafi uderzać na ptaka szybko lecącego, jednakże często usiłuje zmęczyć go, dopóki nie przypadnie do ziemi, a wtedy chwyta go bez przeszkody. Żadne zwierzę nie ujdzie przed nim, choćby w najszybszym biegu.

Szczególnie lubi uderzać na kaczki i chwyta je z wody, nim zdołają nurkując ujść jego pogoni Złowionym ptakom wyrywa naprzód pióra. Uderza też na lisa, jak na obrazku w dzisiejszym numerze. Nie tylko rozdziera zdobycz potężnymi swymi szponami, lecz ogłusza ją i zabija uderzeniami skrzydeł. Jest to najniebezpieczniejszy wróg wszelkiej łownej zwierzyny i ztąd nigdzie nie powinien być cierpiany. Taki jest ostateczny wyrok tego znakomitego znawcy drapieżnych ptaków.

Opatrzność Boska czuwa.

Opowiadanie z czasów ostatniego prześladowania chrześcian w górach Libanon.

(Ciąg dalszy.)

Ztąd poszło, że Turcy postanowili wszystkich chrześcian w Syryi wymordować a potem kraj ich zagarnąć. Basza turecki z Bajrutu dał Druzom tajny rozkaz, ażeby zaczęli mordować Maronitów. Namiestnikom tureckim zaś zakazano chrześcianom pomagać. W Maju 1860 roku rzucili się Druzowie na chrześcian, paląc wsie maronickie i mordując mieszkańców.

III.

Ali bieżał w zmroku boczną ulicą, chcąc najkrótszą drogą do domu ojca

przybyć. Nagle stanął, bo w środku ulicy leżało kilka ciał pomordowanych chrześcian. Zrazu cofnął się przerażony, potem jednak schylił się, nadsłuchując, czy nie usłyszy jęku, coby było znakiem, że jeszcze ktoś z leżących żyje. Nie posłyszał jednak niczego i napróżno tego oczekiwał, bo wszyscy leżący już nie żyli. Ze zgrozą zauważył Ali, że mieli poucinane głowy, ręce i nogi i że tylko skrwawione kadłuby ciał ludzkich tam leżały. Po szatach poznał Ali między zamordowanymi pewnego kapłana chrześciańskiego, którego widział u przyjaciela swojego Marona. Zadrzał na myśl, że i Marona oraz matkę jego i siostrę może spotkać los podobny.

Ali chciał się właśnie oddalić, gdy z zaułka wypadło dwóch Arabów z nożami i krzyknęli, łapiąc go:

— I tyś jest psem chrześciańskim, więc musisz umrzeć!

— Nie jestem chrześcianinem, — odrzekł na to Ali.

— A czemu to tak uważnie przyglądałeś się tym trupom? Czemu tak wzdychałeś?

Ali nie wiedział, co na to odpowiedzieć, lecz drugi Arab odezwał się do towarzysza:

— Daj mu pokój. Przecie widzisz, że on nosi tureckie szaty.

— Pokaż, żeś jest Muzułmaninem, — rzekł do Alego — i rzeknij: Bóg jest bogiem a Mahomet jego prorokiem.

Ali powtórzył te słowa, lecz tak głucho i cicho, że Arabowie znowu go zaczęli podejrzywać.

— Mówisz to tak cichym głosem, jakobyś nie był prawdziwym Muzułmaninem, lecz niewiernym. Czegoś tu szukał między trupami? Czy to może twoi krewni?

Tymczasem Ali wymyślił, co ma powiedzieć.

— Ja lękam się chrześcian, — rzekł, — ponieważ nie mam broni przy sobie. Szukałem przeto, czy tutaj przy którym z leżących nie znajdę noża.

— Skoro tylko o to chodzi, — zawołali Arabowie, — to my ci pomożemy. Tu masz nóż i chodź z nami mordować chrześcian.

Ali musiał iść. Zaczął żałować swoich słów, bo za żadne skarby świata nie chciał ręki swojej splamić krwią chrześciańską. W tej trwodze śmiertelnej zaczął się modlić do Boga chrześcian, jak słyszał u Marona.

— Ojcze nasz, któryś jest w Niebiesiech, święć się imię twoje! Ratuj mnie i nie dopuść, abym się stał mordercą. Ojcze nasz, chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj, wybaw mnie odezłego i uwolnij od tych dwóch Arabów.

Chociaż słowa modlitwy Pańskiej pomięszał z swojemi westchnieniami, Pan Bóg usłyszał go, zrozumiał i dopomógł. Gdy przybyli na rynek, tłum Turków bombardował kamieniami pewien dom, w którym chrześcianie mieszkali. Tu i owdzie widać było Arabów i Druzów niosących różne rzeczy zrabowane z domów; inni znów podkładali ogień pod domy.

Ochota do rabunku ogarnęła obu Arabów; puścili Alego i wmięszali się w tłum, aby wziąć udział w plądrowaniu. Ali skorzystał z tego, odbiegł na stronę, a potem udał się w drogę ku domowi.

Lecz jeszcze nie zdołał opuścić rynku, gdy znowu usłyszał głos ojca swojego, który stojąc na drugim końcu rynku, zachęcał Turków do mordowania chrześcian, wywłóczonych z palących się domów. Ali zamierzał, przybywszy do domu, rzucić się ojcu swojemu do nóg z prośbą, ażeby rąk swoich niewinną krwią chrześcian nie plamił. Teraz jednak spostrzegł, że prośba jego byłaby daremną, bo ojca opętał widocznie zły duch.

Czemprędzej zaczął biedz ku domowi, przemyśliwując, jakim sposobem zdoła uratować od śmierci przyjaciela swego Marona, matkę jego i siostrę. Nie było wiele czasu do stracenia, bo część miasta, zamieszkana przez chrześcian już w kilku miejscach się paliła. Po drodze napotykał Ali Turków. Ponieważ skrwawiony nóż jeszcze w ręku trzymał, nie

zatrzymywał go nikt, a Muzułmanie sądzili, że i on należy do tych, którzy chrześcian mordują i chwalili go za to. To naprowadziło go na sposób, za pomocą którego zdołałby przyjaciół swoich uprowadzić bezpiecznie z miasta. Zaopatrzy ich w tureckie szaty, on weźmie nóż w rękę, a potem już przez środek nieprzyjaciół wyjdą z miasta.

W domu Ali nie zastał nikogo. Wpadłszy najprzód do swojej izby, zabrał jedno swoje ubranie dla Marona, wszystkie pieniądze, jakie miał pod rękę i kosztowności, otrzymane od matki nieboszczki. Następnie poszedł do izby, gdzie matka jego za życia mieszkała. Tam w kącie stała skrzynia, pełna szat nieboszczki. Wybrał z pomiędzy nich dwa wielkie płaszcze, dwa długie szale i dwa nakrycia głowy dla kobiet.

Gdy to wszystko w tłomok związał, przypomniał sobie matkę i zapłakał sobie rzewnie.

— Matko, matko, przebacz mi, że opuszczam ojca. Muszę uciec, albowiem chcą mnie tu uczynić mordercą. Jestem zobowiązany ocalić moich przyjaciół. I ty, matko, uczyniłabyś tak samo. Matko, pomagaj mi i wspieraj mnie!

Tak sobie westchnąwszy, zgasił lampę i z tłomokiem w ręku opuścił dom rodzicielski. Uliczkami bocznemi dostał się do domu, w którym wdowa z dziećmi mieszkała.

— Maron! Maron!

Z domu ktoś zapytał:

— Ktoś ty?

— Ali, twój przyjaciel; otwórz szybko.

Wnet drzwi otworzono i Ali wszedł. Wdowa spostrzegłszy skrwawiony nóż w jego ręku, cotnęła się, wołając:

— Czyście zabili kogo?

— Nie, ten nóż dał mi pewien Arab. Był on mi ochroną w drodze do domu i teraz do was. I dla was musi być tem samem.

— Czyja to krew na nim? — zapytał Maron.

— Zapewnie krew chrześcian — odpowiedział Ali.

— Krew chrześcian! — zawołała wdowa, biorąc nóż z ręki Alego. — Dzieci słyszycie? To krew chrześcian, krew męczeników.

Potem padła na kolana, a wzniósłszy nóż w górę, mówiła:

— O Zbawicielu! Racz wejrzeć na krew Twoich dzieci. Poświęcam ją Tobie a także moję krew i krew moich dzieci. O Panie, daj mi siłę na chwilę śmierci.

Wtedy znów podniosła się, zmaczała palce w zaschłej krwi, namazała nią czoło sobie i dzieciom, mówiąc:

— Dzieci, to krew męczenników! Oby nam dodała mocy, abyśmy potrafili umrzeć za Chrystusa.

Ali pełen podziwu spoglądał na tę mężną matkę, pytając się, zkąd bierze tę ochoczość do śmierci. Jemu się zdawało, że śmierć jest najstraszliwszą rzeczą, jaką sobie wyobrazić można.

Lecz przerwał sobie myśli o tem, gdyż każda chwila była droga i rozstrzygała o losie wdowy z dziećmi. Objaśniwszy ich więc o stanie rzeczy w mieście, wykazał, że trzeba uchodzić z miasta. W tym celu powinni się przebrać w szaty tureckie, które przyniósł. Wszyscy uznali radę jego za trafną.

Wdowa zabrała wszelkie kosztowniejsze przedmioty ze sobą i utuliwszy się w płaszcz turecki, czekała, aż Judyta wróci z piwnicy, dokąd się udała, aby zabrać chleba i wina na drogę. Nie można było wiedzieć, czy w drodze uda się kupić żywności; przezorniej było, zabrać nieco ze sobą. Każdy z uciekających niósł tłómoczek. Zanim opuścili dom, uklękła wdowa z dziećmi jeszcze raz przed obrazem Matki Boskiej, poleciła się Jej opiece i potem wyszli z domu, którego już nigdy nie zobaczyli.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

* **Tłoka, tłóka,** właściwie zbiegowisko, natłok ludzi; stąd poszła nazwa starego w Polsce i na Rusi zwyczaju gromadnej pomocy i pracy w połączeniu z ucztą. Był to piękny, słowiański obyczaj ludu rolniczego, dopóki możni nie zaczęli go nadużywać. Cechował on sąsiedzką wzajemność i prawdziwie ludzką uczynność naszych praojców, bo polegał na bezpłatnej pomocy, niesionej przez gromadę jednemu, który wywdzięczał się za to sutym obiadem lub wieczorną biesiadą dla tłoczników, a także gotowością służenia im wzajemnie, gdy który potem zapotrzebował tłoki. Skoro bowiem nieraz gromadna pomoc może uratować mienie sąsiada, ojcowie nasi uświęcili obowiązek tej pomocy prawem zwyczajowem, od którego nikt wyłamywać się nie śmiał. Więc na zaproszenie śpieszą wszyscy, aby np. żniwo dokończyć, lub dopełnić zwózki drzewa na budowlę itd. Nieraz wdowa, stary lub chory gospodarz podźwignięty bywa w ten sposób. Ani uchylać się od tłoki, ani za udział w niej wziąć zapłaty nie godzi się. Na Mazowszu i Podlasiu dotąd ten dawny zwyczaj trwa jeszcze wśród kmieci i drobnej szlachty. Po dworach istniały tam tłoki obowiązkowe do r. 1846, a dziedzice zwykle cztery razy w ciągu żniwa przygotowywali obfite jadło i napoje dla zebranej na tłokę gromady.

FRASZKI.

* **Pewien wieśniak** oddał sprawę swą adwokatowi, z góry jednak nie zapłacił mu ani szeląga. Dlatego też adwokat, ile tylko razy go wieśniak odwiedził, mówił:

— Sprawa wasza jest tak zawikłana i ciemna, że się w niej rozpatrzeć nie mogę dokładnie.

Wieśniak zrozumiał cel tych słów, wyjął dwa talary z kieszeni a położywszy je na stół, rzekł:

— Proszę pana, tu są dwa szkła do okularów!

* **Słuchajno,** a tobie kto tak gębę nadwyrężył?

— A to Wicek wczoraj mi dał raz w gębę, ja nic, drugi raz, ja nic, dopiero jak ci mi dał trzeci raz, ja w nogi.

* **Zeszło się dwóch myśliwych,** a obaj byli srodzy łgarze. Jeden tedy opowiada, że strzela takiemi szrocinami, które choć zająca nie trafią, dopóty go gonią, dopóki go nie ubiją. A drugi rzecze:

— To wszystko fraszka wobec dziwnego wypadku, który mi się raz wydarzył. Strzeliłem do niedźwiedzia wydzierającego barć na sośnie, a bestya ta spadając z drzewa wpadła w lufę mej strzelby, tak, że aż za ogon musiałem ją wyciągnąć.



1. Ami, mądra psino, — rzecze pan Hilary,
Chodzić mi nie łatwo, bom już dosyć stary;
Przynieś mi pantofel, przynieś mi kochanie,
Kiełbaska ci za to się dzisiaj dostanie.



2. Tam leży pantofel, przynieśże go, Ami,
Napasę cię za to zaraz cukierkami.
Aport, piesku, aport, pokaż twoją sztukę,
Niechaj mam nagrodę za długą naukę.



3. Pies szczeka co prawda, lecz nie aportuje,
Więc Hilary palcem na nogę wskazuje.
»Pantofel na nogę!« — tłómaczy i gada,
Lecz Ami szczekaniem na to odpowiada.



4. Aż skoczył i capnął i trzyma niestety,
Nie stary pantofel, lecz nogę, — o rety!
»Psie głupi a puścisz!« Pies trzyma i wlecze
A krew z nogi panu przez pończochę ciecze.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

Praktyczne rady.

— **Schab solony pieczony.** Schab świeży z polędwicą osolić saletrą jak szynkę, posypać tłuczonymi korzeniami, t. j. pieprzem, zielem angielskiem, kolendrem, majrankiem, jałowcem, rozmarynem, dodać kilka talarków cebuli, parę ząbków czosnku, i trzymając w chłodnem miejscu, obracać peklowinę przez cały tydzień, poczem oskrobawszy z tych wszystkich korzeni, nie płócząc w wodzie, piec jak zwykle każdą pieczeń.

— **Środek przeciw pleśnieniu wędlin.** Dla zapobieżenia pleśnieniu szynki, lub też chcąc z niej pleśń usunąć, należy sól zwyczajną kuchenną polać na talerzu taką ilością wody, aby się z tego gęsta masa zrobiła. Pleśń na wędlinie, posmarowana cienko tą masą, znika odrazu, a po kilku dniach, miejsca posmarowane pokrywają się drobnymi kryształkami, które dalszej pleśni nie dopuszczają.

— **Likier waniliowy.** Dwie laski winilii pokrajać na kawałki i zalać w butelce kwaterką najlepszego spirytusu, poczem postawić z butelką mocno zakorkowaną w ciepłem miejscu, lub na słońcu, na godzin 48. Po upływie tego czasu w 2 kwartach wody rozpuścić na ogniu 4 funty cukru, a gdy się syrop wyklaruje, odstawić z ognia, aby trochę przestygł i wlać do niego 2 kwarty najlepszego spirytusu, dodać również spirytus z namoczoną wanilią, wymięszać i zaraz zlewać w butelki przez flanelę umieszczoną w lejku, aby płyn ściekał klarowny. Butelki zakorkować mocno i potrzymać w piwnicy parę miesięcy, nim zaczną się używać.

— **Cylindry do lamp** gdy są zanieszyszczone i mają plamy zastarzałe, czyszczą się dobrze i są przejrzyste, gdy je się pomaże i wytrze masłem a potem starannie ciepłą słoną wodą wypłócze.

— **Dobry środek na odzięblizne.** Sok z cebuli okazał się w wielu razach bardzo pomocnym na to cierpienie środkiem. Na noc natrzeć dobrze zbolałe miejsca cebulą, na wierzch położyć cały plasterek cebuli i obwiązać tak, aby się nie zesunęło. Rano zdjąć to wszystko a obwinąć płatkiem nasiąkniętym oliwą, gdy się tego środka przez kilka tygodni używa, odzięblizna zniknie zupełnie.

Rozmaitości.

* **Co się dzieje z drzewem, ściętem w jednym roku?** Około stu milionów stóp sześciennych idzie na budowę domów, wznoszonych w miastach, wsiach i wioskach. Wyrabiający naczynia do użytku domowego zużywają rocznie również około 100,000,000 stóp przeważnie drzewa dębowego, jesionowego i klonowego. Stolarze biorą do przeróbki na meble niemniej od 300,000,000 stóp drzewa przeważnie twardego. Fabryki wagonów i wozów zużywają około 100,000,000 stóp. Oto są główne ujścia dla drzewa, corocznie ścinanego.

* **Pierwotny język ludzkości.** Żydzi utrzymywali, że Adam i Ewa mówili z sobą po hebrajsku; arabowie twierdzą, że po arabsku; sprzeciwiają się temu syryjczycy, zazdrośni o starożytność swego narzecza. W r. 1580 Goropius wydał książkę, w której dowodzi, że Adam i Ewa rozmawiali po flamandzku; Erro zaś w swojej broszurze przekonywa, że po baskijsku. Najwięcej jednak uczonych zgadza się na to, że pierwotny język zaginął, a przypuszczenie to jest najprawdopodobniejszem, ponieważ język pierwotny musiał być nader ubogi, niewykształcony i zasadzał się na naśladowaniu głosów natury.

* **Łyżwy.** W starożytnych grobowcach we Fryzyi znajdowano łyżwy wyrobione z kości i przywiązywane do nóg za pomocą rzemieni; pochodzą one z 8 lub 9 w., chociaż prawdopodobnie narzędzia te znane były jeszcze w epoce gładzonego kamienia. Z biegiem czasu pierwotne łyżwy z grubego kawałka kości ustąpiły miejsca drewnianym, wiele zgrabniejszym, z żelaznem okuciem; ostatnim zaś wyrazem łyżew udoskonalonych są stalowe halifaksy.

* **Kiedy Sennaheryb**, król assyryjski, napadł z ogromnem wojskiem na Egipt, przerażeni egipcyanie nie chcieli walczyć z przeważną liczbą napastników. Zdawało się, że kraj jest zgubiony, ale wtem jednej nocy mnóstwo szczurów rzuciło się na obóz assyryjski i poprzegryzało cięciwy od łuków. Rozbrojeni assyryjczycy ratowali się ucieczką i Egipt dzięki szczurom został ocalony. Na pamiątkę tego zdarzenia, król egipski Sethos kazał wystawić swój posąg ze szczurem w ręku.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.